

# NELSON DEMILLE

AUTOR **BESTSELLERÓW** *GRA LWA* i *POWRÓT LWA*

## NADEJŚCIE **x** NOCY

*Numer jeden amerykańskich list bestsellerów*



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

Nelson DeMille

Nadejście  
nocy

przełożył  
Grzegorz Kołodziejczyk



warszawa 2012

Tytuł oryginału: *Night fall*

Copyright © 2004 by Nelson DeMille

[www.nelsondemille.net](http://www.nelsondemille.net)

All rights reserved

Polish edition copyright © Buchmann Sp. z o.o., Warsaw, 2012

Copyright © for the Polish translation by Grzegorz Kołodziejczyk

Projekt okładki: Krzysztof Kielbasiński Skład: TYPO

ISBN 978-83-7670-510-1



[www.fabrykasensacji.pl](http://www.fabrykasensacji.pl)

Wydawca:

Buchmann Sp. z o.o.

ul. Wiktorska 65/14, 02-587 Warszawa

Tel./fax 22 6310742

[www.buchmann.pl](http://www.buchmann.pl)

Konwersja:



*Dla Sandy*  
*Wreszcie...*

# Od autora

Książka ta jest powieścią opartą na faktach. Opowiada o katastrofie lotu numer 800 linii TWA, która wydarzyła się koło Long Island w Nowym Jorku 17 lipca 1996 roku.

Postaci występujące w powieści są fikcyjne, choć pojawiają się odniesienia do prawdziwych osób.

Wydarzenia z 17 lipca 1996 roku przedstawione w tej książce oraz późniejsze śledztwo opisałem na podstawie opublikowanych relacji, moich wywiadów z prowadzącymi dochodzenie, a także rozmów z naocznymi świadkami katastrofy.

Oficjalnie za przyczynę katastrofy uznawano awarię mechaniczną, choć istnieją hipotezy wskazujące na bardziej złowieszcze czynniki, które doprowadziły do tej tragedii. Starłem się przedstawić punkty widzenia wszystkich stron i pozostać w zgodzie z relacjami naocznych świadków, dowodami oraz faktami odkrytymi w trakcie dochodzenia. Pozwoliłem sobie jednak na daleko idącą swobodę literacką tam, gdzie trudno jednoznacznie zinterpretować dowody.

Książkę tę napisałem, by uczcić pamięć pasażerów i załogi lotu numer 800 linii TWA, którzy stracili życie wieczorem 17 lipca 1996 roku. Poświęcam ją też rodzinom i bliskim, a także tysiącom kobiet i mężczyzn, którzy uczestniczyli w akcji ratowniczej oraz w późniejszym śledztwie mającym wyjaśnić przyczynę tragedii.

**KSIĘGA  
PIERWSZA  
17 lipca 1996  
Long Island, Nowy Jork**

*Niech rzecz ta na zawsze pozostanie Naszą tajemnicą*

*Niech inni jej nie zobaczą*

*Ani nie usłyszą*

*Lewis Carroll, Alicja w Krainie Czarów*

Bud Mitchell jechał fordem explorerem po Wydmowym Szlaku. W pewnej odległości zobaczył tablicę z napisem PARK CUPSOGUE BEACH COUNTY - OTWARTE OD ŚWITU DO ZMIERZCHU. Był zmierzch, lecz Bud przejechał przez pusty parking. Po jego przeciwnej stronie znajdował się szeroki naturalny trakt odgradzony drucianą siatką. Na tablicy widniał napis ZAKAZ WJAZDU WSZELKICH POJAZDÓW.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - spytał Bud kobiety siedzącej obok niego w aucie.

- Tak, to ekscytujące - odparła Jill Winslow.

Bud skinął głową bez entuzjazmu. Ominął ogrodzenie, włączył napęd na cztery koła i jechał piaszczystą drogą, wzdłuż której po obu stronach ciągnęły się porośnięte wysoką roślinnością wydmy.

Pomyślał, że uprawianie pozamałżeńskiego seksu powinno być wystarczająco ekscytujące dla nich obojga. Jill patrzy na to inaczej. Uważała, że zdradzanie męża jest warte zachodu tylko wówczas, gdy seks jest lepszy, a emocje większe niż w domu. Jego podniecało samo kochanie się z żoną innego mężczyzny.

Gdzieś około swoich czterdziestych urodzin Bud Mitchell doszedł do zatrważającego wniosku, że kobiety są inne. Teraz, pięć lat później i po dwóch latach trwania romansu uświadomił sobie, że fantazje jego i Jill niezbyt dobrze do siebie przystają. Jednak Jill Winslow była piękna i chętna, a co najważniejsze, była czyjąś żoną i chciała, żeby tak zostało. Dla niego wyrażenie „bezpieczny seks” oznaczało seks z mężatką.

Dodatkowym dreszczykiem dla Buda było to, że on i Arlene, jego żona, obracali się w tych samych kręgach towarzyskich co Jill i jej mąż Mark. Kiedy we czworo spotykali się przy jakiejś okazji, Bud nie czuł się niezręcznie ani nie gnębiło go poczucie winy - wprost przeciwnie: czuł się fantastycznie, jego męskie ego nie znało ograniczeń. Upajał się sekretną wiedzą, że zna każdy centymetr nagiego ciała pięknej Jill Winslow.

Gdyby to jednak pozostało do końca tajemnicą, rzecz jasna, nie byłoby tak ekscytujące. Na początku romansu, gdy oboje drżeli, że mogą zostać nakryci, przysięgli sobie, że nikomu nie powiedzą. Później oboje dali do zrozumienia, że musieli się zwierzyć bliskim przyjaciółom, wyłącznie po to, by ci potwierdzili ich bajeczki tłumaczące powtarzające się nieobecności w domu. Bud zawsze się zastanawiał, którzy znajomi wiedzieli, i na spotkaniach towarzyskich dobrze się bawił, próbując odgadnąć.

Przyjechali samochodami z domów na Złotym Wybrzeżu Long Island, jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów od Westhampton. Jill zostawiła wóz na wiejskim parkingu, gdzie się spotykali, a później pojechali explorerem Buda do hotelu. W hotelu Bud zapytał o bajeczkę Jill i uzyskał jednowyrazową odpowiedź, więc spytał



jeszcze raz:

- Gdzie dzisiaj jesteś?

- Na kolacji z przyjaciółką, która mieszka w East Hampton. Jutro jedziemy na zakupy. - Po chwili dodała: - To akurat jest prawda, bo rano musisz jechać do domu.

- Przyjaciółka to przyklepuje?

Jill westchnęła ze zniecierpliwieniem.

- Tak. Niech cię o to głowa nie boli.

- Okay. - Bud zauważył, że Jill nigdy nie pyta o jego bajeczkę, jak gdyby uważała, że im mniej wie, tym lepiej. Postanowił jej jednak powiedzieć.

- Nurkuję z przyjaciółmi w oceanie. Słaby zasięg komórki.

Jill wzruszyła ramionami.

Bud Mitchell rozumiał, że oboje na swój sposób kochają nieco nudnych małżonków, dzieci i wygodne życie wyższej klasy średniej. Kochali też siebie albo tak mówili, jednak nie na tyle, by rzucić wszystko i móc ze sobą być przez siedem dni w tygodniu. Trzy lub cztery razy w miesiącu wystarczało.

Trakt kończył się przy wysokiej wydmie. Bud zatrzymał samochód.

- Jedź do plaży - powiedziała Jill.

Bud skręcił w stronę oceanu.

Explorer sunął przez niskie zarośla i morską trawę, które porastały zbocze wydmy. Bud zatrzymał auto po drugiej stronie wydmy, gdzie nie można go było zobaczyć z drogi. Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał 19.22.

Słońce zachodziło nad Atlantykiem; Bud zauważył, że ocean jest gładki jak staw. Niebo było czyste, wisiały na nim tylko pojedyncze, rozproszone chmury.

- Ładny wieczór - rzucił.

Jill otworzyła drzwiczki i wysiadła. Bud zgasił silnik i podążył za nią.

Rozejrzeli się po szerokiej połaci białego piasku plaży kończącej się trzydzieści metrów dalej, w miejscu zetknięcia z oceanem. Woda mieniła się złotymi plamkami w blasku zachodzącego słońca, łagodny wietrzyk od lądu poruszał trawę porastającą wydmy.

Bud rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy są sami. Tylko Wydmowym Szlakiem można się było dostać na wyspę. W czasie jazdy Bud zobaczył kilka samochodów kierujących się w stronę Westhampton, lecz ani jednego zmierzającego w przeciwnym kierunku.

Wąska wysepka kończyła się sto metrów dalej przesmykiem Moriches. Po drugiej stronie widać było kraniec parku Smith Point County na Wyspie Ognia.

Była środa, więc wszyscy weekendowi wycieczkowicze z Hampton wrócili już do miasta, a ci, którzy zostali, dawno rozpoczęli wieczorne koktajle. Poza tym miejsce, w którym wszystkie pojazdy powinny się zatrzymywać, zostało pół kilometra z tyłu.

- Zdaje się, że plaża należy do nas - zauważył Bud.

- Przecież ci mówiłam.

Jill obeszła samochód i otworzyła tylną klapę. Bud podszedł i razem wyjęli z auta koc, lodówkę turystyczną, kamerę wideo oraz trójnóg.

Znaleźli osłonięte zagłębienie między dwiema trawiastymi wydhami. Jill rozpostarła koc i postawiła chłodziarkę, a Bud ustawił trójnóg i kamerę. Zdjął osłonę z obiektywu, spojrział przez wizjer i skierował kamerę na Jill siedzącą boso ze skrzyżowanymi nogami na kocu. Ostatnie promienie czerwonego słońca oświetlały scenę. Bud dostroił powiększenie i nacisnął guzik nagrywania.

Usiadł na kocu obok Jill, która otworzyła butelkę białego wina i napełniła kieliszki wyjęte z lodówki.

Stuknęli się kieliszkami.

- Za letnie wieczory i za nas razem - wzniósł toast Bud. Pocałowali się.

Świadomość, że kamera rejestruje ich wizerunki i głosy, troszeczkę wpływała na ich zachowanie. Jill postanowiła przełamać lody.

- Często tu przyjeżdżasz?

- Pierwszy raz - odparł Bud. - A ty?

Uśmiechnęli się i cisza stała się prawie niezręczna. Bud nie był zachwycony, że obiektyw kamery jest na nich skierowany, lecz wiedział, iż później, gdy wrócą do hotelu w Westhampton, będą mogli odtworzyć nagranie, kochając się w łóżku. Może to jednak nie był taki zły pomysł.

Wypili jeszcze po lampce wina i przypomnieli sobie, że nadchodzi zmierzch. Jill przystąpiła do rzeczy. Postawiła kieliszek na lodówce, wstała i zdjęła dziergany top.

Bud też wstał i ściągnął koszulę.

Jill zdjęła szorty khaki i odrzuciła nogą na bok. Stała przez kilka sekund w staniku i figach, patrząc, jak Bud się rozbiera, a potem ściągnęła stanik i majtki. Stanęła na wprost kamery, wyrzuciła ręce w bok, zakołysała się kilka razy, powiedziała: „Ta dam!” i ukloniła się.

Objęli się i pocałowali, ich ręce zaczęły wędrować po ciałach.

Jill ustawiła Buda na wprost obiektywu, spojrzała na kamerę i powiedziała:

- Obciążanie, ujęcie pierwsze. - Uklękła i wzięła jego członek do ust.

Bud się usztywnił, ale kolana mu zmiękły. Nie wiedział, co zrobić z dłońmi, położył je więc na głowie Jill i przesuwiał palcami po jej prostych kasztanowych włosach.

Zmusił się do uśmiechu, pamiętając, że kamera filmuje jego twarz, a chciał wyglądać na zadowolonego, kiedy później będą to odtwarzali. Lecz w gruncie rzeczy czuł się trochę głupio i nieswojo.

W mieszanym towarzystwie bywał nieco rubaszny, Jill zaś wyrażała się delikatnie i skromnie, czasem tylko się uśmiechała lub żartowała. Jednak w łóżku wciąż zaskakiwała Buda seksualnymi szaleństwami.

Wyczuła, że partner za chwilę osiągnie orgazm, więc odsunęła się i oznajmiła:

- Koniec ujęcia. Scena druga. Poproszę wino.

Bud sięgnął po butelkę.

Położyła się na wznak, uniosła nogi, i powiedziała:

- Smakowanie zoneczki. - Rozłożyła nogi. - Nalewaj.

Bud uklęknął, polał ją winem, a później bez dalszych wskazówek reżyserskich wsunął w nią język.

Jill dyszała ciężko, ale zdołała powiedzieć:

- Mam nadzieję, że dobrze ustawiłeś kamerę.

Bud podniósł głowę, by zaczerpnąć powietrza. Zerknął na kamerę.

- Taak.

Wzięła butelkę i rozlała resztkę wina po ciele.

- Zliź.

Zebrał językiem wino z jej twardego brzucha i piersi, przesunął językiem po sutkach.

Po kilku minutach usiadła i powiedziała:

- Cała się lepię. Wykąpmy się na golasa.

Bud wstał.

- Myślę, że powinniśmy już jechać. Wykąpiemy się w hotelu.

Jill go zignorowała, wspięła się na szczyt wydmy i spojrzała na ocean.

- Postaw kamerę tutaj, żeby było widać, jak się kąpiemy. Bud wiedział, że nie ma szans w sprzeczce, toteż podszedł szybko do kamery, zatrzymał ją, przeniósł razem z trójnogiem na wierzchołek wydmy i ustawił nogi w piasku.

Objął spojrzeniem piaszczystą plażę, ocean i niebo. Zamierający blask słońca wciąż oświetlał horyzont, lecz woda była już granatowo-purpurowa. W górze zauważył pierwsze gwiazdy i migające światła wysoko lecącego samolotu. Na dalekim horyzoncie lśniła poświata dużego statku. Wietrzyk przybrał na sile i chłodził jego spocone, nagie ciało.

Jill spojrzała przez wizjer i przestawiła soczewkę na zmierzch, a następnie ustawiła automatyczne skupienie na nieskończoność, a powiększenie na szerokie ujęcie. Wcisnęła przycisk nagrywania i powiedziała:

- To jest takie piękne.

- Może nie powinniśmy schodzić nago na plażę - rzekł z wahaniem Bud. - Tam mogą być jacyś ludzie.

- I co z tego? Jeśli ich nie znamy, to kogo to obchodzi?

- Tak, ale zabierzmy jakieś ubrania...

- Trzeba w życiu ryzykować, Bud.

Zaczęła zbiegać po zboczach w stronę oceanu, ślizgając się i podskakując.

Bud obserwował z podziwem jej doskonałe nagie ciało śmigające ku wodzie.

Odwróciła się do niego.

- No chodźże!

Bud zbiegł z wydmy i pomknął sprintem po płaskiej plaży. Czuł się głupio z członkiem podskakującym na wietrze.

Dogonił Jill na skraju wody. Odwróciła go do kamery i zamachała ręką.

- Bud i Jill pływający z rekinami. - Ujęła go za rękę i z pluskiem skoczyli w spokojny ocean.

Pierwszy szok zetknięcia z zimną wodą ustąpił miejsca przyjemnemu uczuciu oczyszczania ciała. Zatrzymali się w miejscu, gdzie słona woda sięgała im do bioder i obmyli się z przodu i z tyłu.

Jill spojrzała na morze.

- Czysta magia.

Bud stanął obok niej i oboje jak zahipnotyzowani wpatrywali się w lśniąca niczym szkło tafle morza i rozpostarte nad nimi purpurowe niebo.

Z prawej strony Bud zauważył migające światła samolotu, jakieś dwanaście, może piętnaście kilometrów od Wyspy Ognia, lecącego na wysokości trzech do pięciu tysięcy metrów. Samolot zbliżał się, promienie zachodzącego słońca odbijały się od jego skrzydeł. Zostawiał za sobą cztery białe smugi na ciemnoniebieskim niebie; Bud domyślił się, że wystartował z lotniska Kennedy'ego położonego sto kilometrów na zachód i leci w stronę Europy. Chwila była romantyczna, więc rzekł:

- Chciałbym być z tobą na pokładzie tego samolotu i lecieć do Paryża albo Rzymu.

Jill parsknęła śmiechem.

- Wpadasz w panikę, kiedy spędzamy wieczór w hotelu na godziny. Jak byś wytłumaczył wycieczkę do Rzymu lub Paryża?

- Nie wpadam w panikę - obruszył się Bud. - Jestem ostrożny. Ze względu na ciebie. Chodźmy.

- Za chwilę. - Ścisnęła mu pośladek. - Od tego nagrania wypali się ekran telewizora.

Bud był wciąż zły i nie odpowiedział. Złapała go za penisa i zaproponowała:

- Zróbmy to tutaj.

- Aa... - Spojrzał w jedną i drugą stronę, a później na skierowaną na nich kamerę.

- No, chodź. Zanim ktoś nadejdzie. Tak jak w tej scenie ze *Stąd do wieczności*.

Bud znał tysiąc powodów, dla których nie powinni uprawiać seksu na plaży, ale Jill trzymała rękę na tym jednym, który przemawiał za.

Wzięła go za dłoń i poprowadziła na brzeg, gdzie łagodna fala obmywała mokry piasek.

- Połóż się.

Bud spełnił polecenie. Woda omyła jego ciało i cofnęła się. Jill ułożyła się na nim. Kochali się powoli i rytmicznie, tak jak lubiła, poruszając się w swoim tempie.

Buda rozpraszająca nieco woda przelewająca się po jego twarzy i ciele; trochę niepokoiło go też to, że są całkowicie odsłonięci na piasku. Lecz po minucie cały świat wokół nich zniknął i nie zauważyłby nawet tsunami.

Minutę później Jill szczytowała, a Bud razem z nią.

Leżała na nim, dysząc ciężko przez kilka sekund, a potem usiadła okrakiem. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć i przerwała w pół słowa. Szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w ocean.

- Co to jest...?

Bud usiadł błyskawicznie i podążył za jej wzrokiem, spoglądając przez prawe ramię.

Coś unosiło się nad wodą; po sekundzie uświadomił sobie, że jest to smuga czerwonawopomarańczowego ognia ciągnąca za sobą pióropusz białego dymu.

- Co, do cholery...?

Zjawisko wyglądało jak fajerwerk, który pozostał po Czwartym Lipca, ale było za duże, o wiele za duże, i wynurzało się z wody.

Oboje patrzyli, jak przyspiesza, błyskawicznie wspinając się w niebo. Smuga dymu przybrała zygzakowaty kształt, świetlny punkt na szczycie skręcił.

Nagle na niebie pojawił się błysk światła, a później ogromna kula ognia. Jill i Bud zerwali się na nogi i patrzyli na deszcz ognistych szczątków spadający w miejscu eksplozji. Jakies pół minuty później usłyszeli huk dwóch wybuchów, które nastąpiły tuż po sobie. Oboje drgnęli instynktownie. Potem zapadła cisza.

Wielka kula ognia jakby zawisała w powietrzu, a następnie runęła w dół, rozpadając się na dwa lub trzy ogniste kawały lecące z różną prędkością.

Minutę później niebo było czyste; zostały na nim tylko chmury białego i czarnego dymu oświetlone od spodu blaskiem ognia płonącego na gładkim oceanie.

Bud spojrział na rozpalony horyzont, później na niebo, a potem znów na wodę. Jego serce waliło w przyspieszonym tempie.

- O mój Boże... - wyszeptała Jill. - Co się stało...?

Bud stał w bezruchu, nie do końca rozumiejąc, co przed chwilą zobaczył, lecz przeczuwał, że to coś strasznego. W następnej chwili uświadomił sobie, że tyle huku i ognia przyciągnie na plażę ludzi. Wziął Jill pod rękę.

- Wynośmy się stąd. Szybko.

Odwrócili się i pokonali sprintem czterdziestometrowy stok wydmy. Bud złapał kamerę i trójnóg, a Jill zbiegła po drugiej stronie zbocza.

- Ubieraj się! - krzyknął za nią. Oboje zrobili to bardzo szybko i pomknęli w stronę exploraera. Bud niósł trójnóg, a Jill kamerę. Koc i lodówka zostały na piasku.

Cisnęli sprzęt na tylne siedzenie i wskoczyli do samochodu. Bud uruchomił silnik i wrzucił bieg. Oboje ciężko dyszeli. Nie zapalając reflektorów, Bud wjechał na

trakt i skręcił ostro w prawo. Prowadził ostrożnie w ciemności, po piaszczystej drodze, aż dotarł do parkingu. Wreszcie wyjechał na Wydmowy Szlak, włączył reflektory i dodał gazu.

Oboje milczeli.

Z naprzeciwka nadjechał policyjny radiowóz i przemknął obok.

Pięć minut później zobaczyli światła Westhampton po drugiej stronie zatoki.

- Bud, wydaje mi się, że tam eksplodował samolot - odezwała się Jill.

- Może... a może to była olbrzymia raca wystrzelona z barki. - Po chwili dodał: - Może ktoś urządzał pokaz sztucznych ogni.

- Raca nie wybuchają w ten sposób i nie palą się na wodzie. - Jill zerknęła na niego. - Coś ogromnego eksplodowało w powietrzu i roztrzaskało się w oceanie. To był samolot.

Bud nie odpowiedział.

- Może powinniśmy wrócić? - zapytała Jill.

- Po co?

- Może jacyś ludzie się wydostali... Mają kamizelki ratunkowe, tratwy. Może udałoby się im pomóc.

Bud pokręcił głową.

- To, co widzieliśmy, roztrzaskało się na kawałki. Musiało lecieć na wysokości kilku kilometrów. Gliny już są na miejscu. Nic tam po nas.

Jill milczała.

Bud skręcił na most prowadzący do Westhampton Beach. Do hotelu było pięć minut jazdy. Jill pogrążyła się w myślach.

- Ta smuga światła... to była rakietka. Pocisk.

Bud nic nie odpowiedział.

- To wyglądało, jakby rakietka wystrzelona z wody trafiła w samolot.

- Jestem pewien, że usłyszymy o tym w wiadomościach.

Jill spojrzała na tylne siedzenie i zobaczyła, że kamera wciąż jest włączona; ich rozmowa się nagrywała.

Jill sięgnęła po kamerę, przewinęła taśmę, przełączyła na odtwarzanie i spoglądając w wizjer, zaczęła przewijać taśmę do przodu.

Bud zerknął na nią, ale nic nie powiedział.

Jill nacisnęła guzik Pause.

- Jest. Nagraliśmy wszystko na taśmę. - Kilka razy przewinęła kasetę do przodu, a później do tyłu. - Bud, zatrzymaj się i obejrzyj to.

Bud jechał dalej. Jill odłożyła kamerę.

- Mamy wszystko na taśmie. Pocisk, wybuch, deszcz spadających szczątków.

- Taak? A co jeszcze tam widać?

- Nas.
- No właśnie. Skasuj to.
- Nie.
- Jill, skasuj tę taśmę.
- Ale najpierw musimy obejrzeć nagranie w hotelu. Potem je skasujemy.
- Nie chcę oglądać. Skasuj je teraz.
- Bud, to może być dowód. Ktoś powinien to obejrzeć.
- Oszalałaś? Nikt nie będzie oglądał, jak pieprzymy się przed kamerą.

Jill nie odpowiedziała. Bud poklepał ją po dłoni.

- Dobrze, obejrzymy nagranie w hotelu. Później zobaczymy, co podają w wiadomościach. Potem postanowimy, co robić. Zgoda?

Jill skinęła głową.

Bud zerknął na dłonie, w których trzymała kamerę. Jill Winslow była kobietą, która mogła zrobić to, co trzeba, i oddać kasetę władzom, nie licząc się z tym, jakie to będzie miało skutki dla niej i dla Buda. Uważał jednak, że kiedy zobaczy nagranie w całości, ze wszystkimi szczegółami, opamięta się. Jeśli nie, być może będzie musiał zastosować odrobinę siły.

- Słuchaj... - zaczął. - Jak to się nazywa? Czarna skrzynka. Urządzenie rejestrujące przebieg lotu. Kiedy je znajdą, będą wiedzieli więcej o tym, co się stało, niż my i więcej niż to, co pokaże taśma. To jest lepsze niż nagranie wideo.

Jill milczała.

Bud wjechał na parking hotelu Bayview.

- Nawet nie wiemy, czy to był samolot. Sprawdźmy, co powiedzą w wiadomościach.

Jill wysiadła z samochodu i ruszyła w stronę hotelu, trzymając kamerę.

Bud zgasił silnik i poszedł za nią. Nie zamierzał roztrzaskać się i spalić jak ten samolot, zdecydowanie nie.

**KSIĘGA  
DRUGA**  
**Pięć lat później**  
**Long Island, Nowy Jork**

*Spisek to nie teoria,  
to zbrodnia.*



Wszyscy lubią zagadki. Oprócz glin. Dla gliniarza zagadka, jeśli pozostaje zagadką, staje się przeszkodą w karierze.

Kto zabił prezydenta Kennedy'ego? Kto porwał dziecko Lindberghów? Czemu pierwsza żona mnie zostawiła? Nie wiem. To nie były moje sprawy.

Jestem John Corey, kiedyś pracowałem jako detektyw w wydziale zabójstw nowojorskiej policji, a teraz jestem w siłach antyterrorystycznych - ATTF. Tę część mojej kariery można opisać jako drugi akt jednoaktowego życia.

Oto następna zagadka: Co się stało z lotem numer 800 linii TWA? To też nie była moja sprawa, lecz mojej drugiej żony, która zajmowała się nią w lipcu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, gdy wielki boeing 747 lecący do Paryża z dwustu trzydziestoma pasażerami na pokładzie i załogą eksplodował nad wybrzeżem Long Island, w wyniku czego wszyscy zginęli.

Moja druga żona nazywa się Kate Mayfield i jest agentką FBI. Ona też pracuje w ATTF i tam właśnie się poznaliśmy. Niewiele małżeństw może powiedzieć, że poznanie się zawdzięcza arabskim terrorystom.

Autostradą Long Island jechałem na wschód moim paliwożernym smokiem, politycznie niepoprawnym, ośmiocylindrowym jeepem grand cherokee. Obok mnie na fotelu pasażera siedziała wspomniana druga i, miejmy nadzieję, ostatnia żona, Kate Mayfield, która zachowała panieńskie nazwisko z przyczyn zawodowych. Z tych samych przyczyn zaproponowała mi, bym używał jej nazwiska, bo moje wzbudzało w ATTF negatywne emocje.

Mieszkamy na Manhattanie przy Siedemdziesiątej Drugiej Wschodniej, tam gdzie mieszkałem z moją pierwszą żoną, Robin. Kate jest prawniczką, tak jak Robin. Inny mężczyzna w takiej sytuacji zacząłby ze swoim psychiatrą analizować relacje miłosno-nienawistne, które być może łączą mnie z kobietami prawnikami, oraz wszelkie ich złożone przejawy. Ja nazywam to zbiegiem okoliczności. Przyjaciele utrzymują, że lubię pieprzyć prawników. Nieważne.

- Dziękuję, że ze mną przyjechałeś - odezwała się Kate. - To nie będzie zbyt przyjemne.

- Nic nie szkodzi.

Zmierzaliśmy w stronę plaży w ciepłe, słoneczne lipcowe popołudnie, lecz nie po to, by pływać lub się opalać. Jechaliśmy na mszę upamiętniającą ofiary katastrofy lotu TWA 800. Msza odprawiana jest co rok siedemnastego lipca, w rocznicę katastrofy. To była piąta rocznica. Nigdy nie byłem na mszy i nie miałem powodu, by tam być. Lecz jak wspomniałem, Kate pracowała przy tej sprawie i dlatego przyjeżdżała za każdym razem. Przyszło mi na myśl, że oprócz niej sprawą zajmowało się około pięciuset stróżów prawa i byłem pewny, że nie chodzili na każdą mszę, a może nawet nie byli na żadnej. Ale dobry mąż wierzy żonie na słowo. Serio.

- Co robiłaś przy tym śledztwie? - zapytałem.

- Głównie przesłuchiwałam świadków.

- Ilu?

- Nie pamiętam. Mnóstwo.

- Ile osób widziało katastrofę?

- Ponad sześćset.

- Naprawdę? Jak uważasz, co ją spowodowało?

- Nie mam prawa rozmawiać o szczegółach sprawy.

- Dlaczego? Dochodzenie jest oficjalnie zamknięte, przyczyną była podobno awaria mechaniczna, która doprowadziła do wybuchu centralnego zbiornika paliwa. A więc?

Kate nie odpowiedziała, więc jej przypomniałem:

- Mam najwyższe uprawnienia dostępu do tajnych informacji.

- Informacje podaje się tym, którzy ich potrzebują - przypomniała mi. - Czemu chcesz wiedzieć?

- Lubię wtykać nos w cudze sprawy.

Kate spojrzała w okno.

- Musisz skręcić w zjazd sześćdziesiąt osiem.

Zjechałem i skierowałem się na południe William Floyd Parkway.

- William Floyd to gwiazdor rocka, dobrze myślę?

- Był jednym z tych, którzy podpisali Deklarację niepodległości.

- Jesteś pewna?

- Tobie chodzi o grupę Pink Floyd - zauważyła.

- Racja. Masz dobrą pamięć.

- Więc czemu nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego za ciebie wyszłam?

- Bo jestem zabawny. I seksowny. Oraz inteligentny. Inteligencja jest sexy. Tak mówiłaś.

- Nie pamiętam, żebym to powiedziała.

- Kochasz mnie.

- Bardzo cię kocham. - Po chwili namysłu dodała: - Ale potrafisz dać w kość.

- Z tobą też nie jest łatwo wytrzymać, skarbie.

Uśmiechnęła się.

Pani Mayfield jest ode mnie o czternaście lat młodsza i ta niewielka luka pokoleniowa bywa czasem interesująca, a czasem nie.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że Kate Mayfield jest całkiem ładna, lecz pierwsza rzecz, która mnie do niej przyciągnęła, to oczywiście inteligencja. Później zauważyłem jasne włosy, błękitne oczy i skórę białą jak mydło Ivory. Bardzo zgrabna. Ćwiczy w pobliskim klubie zdrowia i uczęszcza na zajęcia bikram jogi,

stepowania, spinu oraz kick boxingu, który ćwiczę czasem w mieszkaniu. Kopnięcia kieruje w stronę mojego krocza; nigdy nie dochodzi do kontaktu, ale możliwość istnieje. Wydaje się, że ma obsesję sprawności fizycznej, podczas gdy ja mam obsesję na punkcie strzelania z dziewięciomilimetrowego glocka. Mógłbym ułożyć długą listę różniących nas rzeczy: muzyka, jedzenie, stosunek do pracy, pozycja deski sedesowej i tak dalej. Mimo to z jakiegoś niezrozumiałego dla mnie powodu jesteśmy w sobie zakochani.

Wracając do poprzedniego tematu, zagailem:

- Im więcej mi powiesz o locie numer osiemset, tym więcej zaznasz wewnętrznego spokoju.
- Powiedziałaś mi wszystko, co wiem. Zostaw ten temat, proszę cię.
- Nie mogę przeciwko tobie zeznawać, jestem twoim mężem. Tak stanowi prawo.
- Nie stanowi. Później porozmawiamy. Ten samochód może być na podsłuchu.
- Ale nie jest.
- Ty możesz mieć na sobie pluskwy. Potem będę musiała cię rozebrać i obszukać.
- Zgoda.

Roześmialiśmy się. Cha, cha. Koniec dyskusji.

Prawdę powiedziawszy, nie miałem żadnego osobistego ani zawodowego powodu, by interesować się katastrofą tego samolotu – tylko takie, jak każdy człowiek, który śledził tę tragiczną sprawę w wiadomościach. Od samego początku istniały w niej niespójności oraz wątpliwości i właśnie dlatego po pięciu latach wciąż była gorącym tematem dla mediów.

Przedwczoraj wieczorem Kate oglądała kilka programów informacyjnych poświęconych stowarzyszeniu o nazwie FIRO, które ujawniło pewne odkrycia niezgodne z oficjalnymi wynikami rządowego śledztwa<sup>1</sup>.

Stowarzyszenie składało się w większości z wiarygodnych osób badających katastrofę z ramienia rozmaitych cywilnych organizacji, a także z przyjaciół i krewnych zabitych pasażerów oraz członków załogi. Resztę jak zwykle w takich wypadkach stanowili zwichrowani umysłowo wyznawcy teorii spiskowych.

FIRO dawało się władzom mocno we znaki, co w głębi serca szczerze podziwiałem.

Poza tym ludzie ci byli oblatani medialnie, więc w piątą rocznicę katastrofy puścili w obieg nagrania rozmów z ośmioma naocznymi świadkami. Niektóre z nich zobaczyłem przedwczoraj w telewizji, gdy moja żonka przeskakiwała z kanału na kanał. Świadczyli ci przedstawiali bardzo mocne dowody przemawiające za tym, że boeing należący do linii TWA został strącony rakietą. Przedstawiciele rządu tego nie skomentowali; przypomnieli tylko, że sprawa została rozwiązana i zamknięta. Awaria mechaniczna, koniec historii.

Jechaliśmy na południe w stronę Atlantyku. Było kilka minut po siódmej

wieczorem. Kate powiedziała, że msza zaczyna się o wpół do ósmej i kończy o ósmej trzydzieści jeden. Właśnie o tej godzinie doszło do katastrofy.

- Znałaś którąś z ofiar?

- Nie, ale poznałam niektóre osoby z ich rodzin.

- Rozumiem.

Po roku pożycia małżeńskiego wiem, że Kate Mayfield oddziela pracę od swoich uczuć. Dlatego fakt, że wzięła wolny dzień - przez innych pracowników FBI nazywany urlopem - po to, by uczestniczyć w mszy rocznicowej ku czci ludzi, których nie znała, jest nie do końca zrozumiała.

Kate wyczuła podtekst mojego pytania i milczenia.

- Czasem mam potrzebę, by poczuć się bardziej ludzką. W tej pracy... czasami jest pocieszające, że to, co uważało się za akt zła, było tragicznym wypadkiem.

- Słusznie.

Nie będę w tym miejscu mówił, że sprawa coraz bardziej mnie intrygowała, lecz ponieważ przez większość życia zarabiałem na chleb wężeniem, zakonotowałem sobie w pamięci, żeby zadzwonić do niejakiego Dicka Kearnsa.

Dick jest gliną z wydziału zabójstw, z którym przez lata pracowałem w nowojorskiej policji. Później przeniósł się do ATTF jako pracownik kontraktowy, którym i ja jestem. Dick, tak samo jak Kate, przeprowadzał rozmowy ze świadkami katastrofy TWA 800.

FBI utworzyło tę jednostkę w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym w odpowiedzi na zamachy bombowe w Nowym Jorku przeprowadzone przez portorykańską organizację FALN<sup>2</sup> oraz Black Liberation Army. Świat się zmienił i obecnie pięćdziesiąt procent stanu osobowego ATTF zajmuje się bliskowschodnim terroryzmem. Tam dzieje się najwięcej, tam jestem ja i Kate. Jeśli pożyję dostatecznie długo, czeka mnie wspaniała, druga odsłona kariery zawodowej.

Działanie jednostki polega na tym, że FBI ściąga z policji emerytowanych, aktywnych zawodowo gliniarzy, którzy wykonują większość ciężkiej, rutynowej roboty śledczej po to, by przepłacani i przemądrzali agenci mieli więcej czasu na wysilanie swoich mózgowic.

Pomieszanie tych dwóch różnych kultur z początku nie zdawało zbyt dobrze egzaminu, lecz z biegiem lat wypracowano swoisty model współdziałania. Na przykład Kate i ja zakochaliśmy się w sobie i pobraliśmy. Jesteśmy standardową parą ATTF.

Sęk w tym, że gdy fedzie wpuścili gliniarzy do domu, żeby ci odwalili ręczną robotę, ci ostatni otrzymali dostęp do wielu informacji, które niegdyś krążyły tylko między federalnymi. Ergo Dick Kearns, mój druh w niebieskim mundurku, chętnie poda mi więcej informacji niż moja federalna żona.

A do czego mi potrzebne te informacje? - mógłby ktoś zapytać. Z pewnością nie uważałem, że uda mi się rozwiązać zagadkę katastrofy TWA 800. Pięciuset

mężczyzn i kobiet pracowało nad nią przez lata, dokładnie przez pięć lat, sprawa została zamknięta, a oficjalny wniosek wydawał się najbardziej logiczny: obluzowany lub nadszarpnięty przewód elektryczny wskaźnika paliwa w centralnym zbiorniku wywołał iskrę, która doprowadziła do zapłonu oparów, a te z kolei rozerwały zbiornik i zniszczyły samolot. Wszystkie materialne dowody na to wskazywały.

Prawie wszystkie.

Była jeszcze smuga światła widziana przez zbyt wiele osób.

Przejechaliśmy przez krótki most łączący Long Island z Wyspą Ognia, długą wysepką barierową, słynącą z tego, że w lecie przyciąga wielu różnych ludzi.

Droga prowadziła do parku Smith Point, obszaru porośniętego sosnami i dębami, z trawiastymi wydmi, na którym być może żyją jakieś zwierzęta. Tego nie lubię. Jestem chłopak z miasta.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie droga z mostem przecina się z drogą nadmorską, biegnącą równoległe do oceanu. Nieopodal na piasku stał wielki namiot, którego boczne klapy łopotały na wietrze. W namiocie i wokół niego zgromadziło się kilkaset osób.

Skierowałem się w stronę niewielkiego parkingu całkowicie zapełnionego oficjalnie wyglądającymi samochodami. Pojechałem dalej piaszczystym traktem w trybie napędu na cztery koła. Znalazłem sobie miejsce do zaparkowania, rozjeżdżając rachityczną karłowatą sosnę.

- Przejechałeś to drzewko - wytknęła mi Kate.

- Jakie drzewko? - Wystawiłem na przednią szybę tabliczkę z napisem „Postój służbowy - policja” i ruszyliśmy pieszo do parkingu.auta albo były kierowane przez szoferów, albo miały na szybach tabliczki z napisami w rodzaju „Postój służbowy”.

Zmierzaliśmy w stronę otwartego namiotu, którego sylwetka rysowała się na tle oceanu.

Mieliśmy ubrania w kolorze khaki. Kate ubrała się w dzierganą koszulę, a ja włożyłem dobre buty turystyczne.

- Możliwe, że spotkamy paru innych agentów, którzy pracowali przy tej sprawie - przedziła mnie Kate.

Przestępcy wracają na miejsce zbrodni lub nie, lecz wiem na pewno, że gliny często wracają na miejsce niewyjaśnionej zbrodni. Czasem obsesyjnie. Ale to nie była sprawa kryminalna, o czym musiałem sobie przypomnieć, tylko tragiczny wypadek.

Słońce wisiało nisko nad horyzontem, niebo było czyste, znad oceanu wiała chłodna bryza. Przyroda bywa czasem znośna.

Podeszliśmy do namiotu, gdzie zebrało się około trzystu osób. W czasie mojej kariery zawodowej uczestniczyłem w zbyt wielu pogrzebach i mszach i nie chodzę z własnej woli na te, na które chodzić nie muszę. Ale cóż.

- Większość krewnych ofiar nosi przypięte zdjęcia osób, które zginęły -

wyjaśniła Kate. - Ale nawet gdyby ich nie mieli, domyśliłbyś się, którzy to są. - Wzięła mnie za rękę i ruszyliśmy w stronę namiotu. - Nie przyszli tu po to, by zamknąć tę sprawę, bo nie można jej zamknąć. Przybyli, żeby się wzajemnie wspierać i pocieszać. Żeby dzielić się stratą bliskich.

Ktoś wręczył nam program. Nie było już wolnych krzeseł, stanęliśmy więc obok namiotu po tej stronie, która była zwrócona do oceanu.

Mniej więcej naprzeciwko tego miejsca, jakieś trzynaście kilometrów stąd, eksplodował olbrzymi samolot liniowy i runął do morza. Później przez kilka tygodni morze wyrzucało szczątki maszyny i rzeczy osobiste. Niektórzy opowiadali też o częściach ciała na plaży, lecz media nigdy tej informacji nie potwierdziły.

Przypominam sobie, iż myślałem wówczas, że jest to pierwszy amerykański samolot zestrzelony przez wroga w granicach Stanów Zjednoczonych. I że jest to drugi atak zagranicznych terrorystów na amerykańskiej ziemi. Pierwszym była eksplozja bomby pod Wieżą Północną World Trade Center w lutym tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

Z biegiem dni, tygodni i miesięcy wiarygodności zaczęło nabierać inne wyjaśnienie katastrofy: awaria mechaniczna.

Nikt w to nie wierzył, ale zarazem wszyscy w to wierzyli. Ja wierzyłem i nie wierzyłem.

Spojrzałem na horyzont i spróbowałem sobie wyobrazić, czym było to coś zbliżające się do samolotu tuż przed eksplozją, co tak wielu ludzi zaobserwowało. Nie mam pojęcia, co widzieli, ale wiem, że wmówiono im, że nie widzieli niczego.

Jaka szkoda, że nikt nie zarejestrował tego momentu na taśmie filmowej, pomyślałem.

Jak już wspomniałem, uczestniczyłem w zbyt wielu pogrzebach i mszach, lecz nad tą mszą za dwieście trzydzieści osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, wisiał nie tylko całun śmierci, lecz także niepewności, niewypowiedzianego pytania, co naprawdę strąciło samolot do morza przed pięcioma laty.

Pierwszym mówcą była kobieta, która według informacji w programie była kapłanem ekumenicznej kaplicy na lotnisku Kennedy'ego. Zapewniła przyjaciół i rodziny ofiar, że powinni starać się przeżywać życie w pełni, nawet jeśli ich najbliżsi już nie mogą.

Jeszcze kilka osób zabrało głos. Z plaży dobiegał szmer fal.

Przemawiali duchowni różnych wyznań, ludzie płakali. Kate ścisnęła moją rękę. Zerknąłem na nią i zobaczyłem łzy spływające po jej policzkach.

- A my wciąż się dziwimy, jak ci ludzie, nieżyjący od tylu lat, mogą nadal być tacy piękni - rzekł rabin.

Mężczyzna, który stracił żonę i syna, mówił o wszystkich dzieciach, żonach i mężach, rodzinach lecących razem samolotem, braciach i siostrach, ojcach i matkach, nieznanymi sobie wcześniej, lecz teraz połączonych na wieki w niebie.

Ostatni mówca, protestancki pastor, wprowadził wszystkich w Psalm dwudziesty trzeci.

- Chociażbym chodził ciemną doliną...

Policijni dudziarze w spódniczkach zagrali *Amazing Grace* i msza w namiocie dobiegła końca.

Później wszyscy sami z siebie, bez żadnej zachęty zeszli na plażę, bo tak właśnie czynili od lat.

Kate i ja podążyliśmy z nimi.

Na brzegu rodziny ofiar zapaliły po jednej świeczce dla każdego z dwustu trzydziestu zabitych. Długi szereg migotliwych, skaczących na lekkim wietrze małych płomieni rozświetlił plażę.

Punktualnie o dwudziestej trzydzieści jeden członkowie rodzin ofiar złapali się za ręce. Śmigłowiec straży wybrzeża skierował światło reflektora na falujący ocean, a załoga kutra rzuciła w tym miejscu wianki.

Niektórzy stojący na plaży uklękli, inni weszli do wody, prawie wszyscy wrzucili do morza kwiaty. Zaczęli się obejmować.

Empatia i wrażliwość nie należą do moich mocnych stron, lecz widok ludzi połączonych wspólnym żalem i pocieszających się nawzajem poruszył moją stwardniałą od oglądania śmierci skorupą niczym ciepły oceaniczny powiew kotarą.

Niewielkie grupki ludzi zaczęły się oddalać od plaży, Kate i ja ruszyliśmy w stronę namiotu.

Zauważyłem burmistrza Giulianiego z gromadką miejscowych polityków i nowojorskich urzędników, których łatwo było rozpoznać dzięki wlokącym się obok nich dziennikarzom proszącym o oświadczenia dla prasy. Usłyszałem, jak jeden z reporterów pyta Rudy'ego: „Panie burmistrzu, nadal pan uważa, że był to atak terrorystyczny?”. Guliani odparł: „Bez komentarza”.

Kate spostrzegła dwoje ludzi, których znała. Przeprosiła mnie i podeszła do nich, żeby porozmawiać.

Stałem na ścieżce niedaleko namiotu i obserwowałem ludzi wracających powoli z plaży, na której wciąż paliły się świece. Śmigłowiec i kuter zniknęły, lecz garstka ludzi została nad brzegiem; niektórzy ciągle stali w wodzie i patrzyli na morze. Inni rozmawiali, obejmowali się, płakali. Najwyraźniej trudno im było opuścić ten zakątek znajdujący się tak niedaleko miejsca, w którym ich bliscy spadli nagle z wieczornego nieba w urzekająco piękną, ciemnobłękitną toń oceanu.

Nie byłem całkiem pewny, dlaczego tu jestem, lecz to, czego przed chwilą doświadczyłem, sprawiło, że tragedia sprzed pięciu lat przestała być dla mnie problemem akademickim i stała się bardziej realna. Przypuszczam, że właśnie dlatego Kate mnie zaprosiła: to była część jej przeszłości i chciała, żebym to zrozumiał. Albo chodziło jej po głowie jeszcze coś innego.

Na co dzień Kate Mayfield jest mniej więcej tak samo uczuciowa jak ja, czyli nie za bardzo. Jednak ta tragedia najwyraźniej dotknęła ją osobiście, a podejrzewałem, że także na płaszczyźnie zawodowej. Tak samo jak wszyscy obecni nie wiedziała, czy opłakują ofiary wypadku czy masowej zbrodni. W czasie tej krótkiej godziny prawdopodobnie nie miało to znaczenia, lecz na dłuższą metę miało, zarówno dla żywych, jak i umarłych. I dla narodu.

Kiedy tak stałem, czekając na Kate, zbliżył się do mnie mężczyzna w średnim wieku ubrany w luźne spodnie i koszulę.

- John Corey - rzekł.

- Nie - odparłem. - To ja jestem John Corey, nie pan.

- Właśnie to chciałem powiedzieć. - Nie wyciągając do mnie ręki, dodał: - Jestem agent specjalny Liam Griffith. Pracujemy w tym samym gmachu.

Wydawał się znajomy, ale szczerze powiedziawszy, wszyscy agenci FBI tacy mi się wydają, nawet kobiety.

- Co pana tu sprowadza? - zapytał.

- Co pana tu sprowadza, Liam?

- Ja spytałem pierwszy.

- Pyta pan oficjalnie?

Griffith zauważył słowną pułapkę.

- Jestem tu prywatnie.

- Ja też.

Rozejrzał się.



- Zdaje się, że przyszedł pan z żoną.

- Zgadł pan.

Przez chwilę milczeliśmy, mierząc się wzrokiem. Uwielbiam le macho pojedynki na gałki oczne i jestem w nich dobry.

- Być może żona panu powiedziała, że ostateczne ustalenia tego śledztwa nigdy jej nie usatysfakcjonowały.

Milczałem.

- Rząd jest zadowolony - ciągnął Griffith. - Ona pracuje dla rządu, i pan również.

- Dzięki za cenną wskazówkę.

Popatrzył na mnie.

- Czasem trzeba stwierdzić fakt.

- Angielski jest pańskim drugim językiem?

- Okay, posłuchaj pan. Sprawa jest zamknięta. Wystarczy, że prywatne stowarzyszenia i obywatele kwestionują wyniki rządowego śledztwa. Mają prawo. Ale pan, ja, pańska żona, my wszyscy, pracownicy federalnego wymiaru sprawiedliwości, nie możemy dawać wiary tym, którzy szerzą inne, może nawet paranoiczne teorie na temat tego, co wydarzyło się tutaj pięć lat temu. Rozumie pan?

- Hej, kolego, ja wybrałem się tu tylko na przejażdżkę. Moja żona przyjechała, żeby oddać cześć zmarłym i pocieszać ich rodziny. Jeśli ktoś tu ma paranoję, to nie ja.

Pan Griffith poczuł się chyba urażony, ale zachował spokój.

- Może sens tego, co mówię, jest dla pana zbyt subtelny. Nie chodzi o to, co tu się wydarzyło albo nie wydarzyło. Ważny jest pański status pracownika agencji rządowej. - Po krótkiej pauzie ciągnął: - Gdyby jutro odszedł pan na emeryturę albo został wyrzucony, mógłby pan poświęcać wszystkie szczęśliwe godziny swojego życia na badanie tej sprawy. To byłoby pańskie prawo prywatnego obywatela, a gdyby odkrył pan dowody pozwalające otworzyć tę sprawę na nowo, szczęść Boże. Ale dopóki pracuje pan dla rządu, nie będzie pan, nawet poza godzinami pracy, przeprowadzał żadnych czynności ani rozmów, zaglądał do żadnych akt ani nawet myślał o tej sprawie. Teraz pan rozumie?

Ciągle zapominam, że niemal wszyscy agenci specjalni to prawnicy, ale kiedy otwierają gęby, przypominam sobie o tym natychmiast.

- Zaciekawia mnie pan - odparłem. - Mam nadzieję, że nie taki miał pan zamiar.

- Wykładam panu prawo, panie Corey, żeby później, jeśli sprawa wypłynie, nie mógł się pan zasłaniać niewiedzą.

- Hej, kolego, jestem gliną od ponad dwudziestu lat i uczę prawa karnego w szkole policyjnej Johna Jaya. Znam zakichane prawo.

- To dobrze. Odnotuję to w swoim raporcie.

- Skoro już o tym mówimy, to niech pan też odnotuje, że powiedział mi, że jest tu

prywatnie, a później odczytał mi moje prawa.

Wtedy agent specjalny Griffith się uśmiechnął i zaczął odgrywać dobrego gliniarza kumpla.

- Lubię cię.
- Ja też cię lubię, Liam.
- Potraktuj tę rozmowę jako przyjacielską radę kolegi. Nie będzie raportu.
- Wy nawet po zrobieniu kupy piszecie dziesięciostronicowy raport.

Agent specjalny Griffith chyba już mnie nie lubił.

- Krąży o tobie opinia trudnego typu, który nie potrafi grać w zespole. Wiesz o tym. W tej chwili jesteś złotym chłopcem z powodu sprawy Asada Khalila. Ale to było rok temu i od tego czasu nie miałeś wybitnych osiągnięć. Khalil wciąż hasa na wolności, tak samo jak ci goście, którzy wpakowali w ciebie trzy kulki w Morningside. Jeśli potrzebujesz życiowej misji, panie Corey, to zajmij się szukaniem tych, którzy próbowali cię stuknąć. To powinno dostarczyć ci zajęcia i powstrzymać od pakowania się w tarapaty.

Przywalić agentowi federalnemu tak, żeby mu się pokazały gwiazdki, to nie jest dobry pomysł, lecz gdy słyszę ten protekcyjny ton, to naprawdę świerzbi mnie ręka. Chociaż raz... Ale nie tutaj.

- Odwal się - zasugerowałem grzecznie panu Griffithowi.
- Okay - odparł, jakby uznał to za niezłą propozycję. - Pamiętaj, że zostałeś ostrzeżony.
- A ty pamiętaj, że zostałeś odwalony.

Odwrócił się na pięcie i poszedł.

Zanim zdążyłem przemielić w głowie konwersację z panem Griffithem, wróciła do mnie Kate.

- To małżeństwo straciło jedyną córkę. Leciła do Paryża, gdzie miała studiować w ramach letniego programu. Pięć lat niczego nie zmieniło i nawet nie można tego oczekiwać.

Skinąłem głową.

- Co ci mówił Liam Griffith? - zainteresowała się.
- Nie mam prawa tego powtarzać.
- Chciał wiedzieć, co tu robimy?
- Dobrze go znasz?
- On z nami pracuje, John.
- W której sekcji?
- W tej samej co my. Bliskowschodni terroryzm. Co powiedział?
- Dlaczego ja go nie znam?
- Nie wiem. Dużo podróżuje.
- Zajmował się sprawą katastrofy tego samolotu?

- Nie mam prawa tego mówić. Czemu go nie zapytałeś?

- Chciałem. Tuż przed tym, jak kazałem mu się walić.

I chwila minęła bezpowrotnie.

- Nie powinieneś tego mówić.

- A dlaczego on tu był?

Po krótkim wahaniu Kate odparła:

- Żeby zobaczyć, kto jeszcze tu przyjdzie.

- Czy on jest kimś w rodzaju żandarma ze służby wewnętrznej?

- Nie wiem. Może. Padło moje nazwisko?

- Powiedział, że nie byłaś usatysfakcjonowana ustaleniami rządowego śledztwa w tej sprawie.

- Nigdy tego nikomu nie powiedziałam.

- Jestem pewien, że to wydedukował.

Kate skinęła głową, a potem jako dobra prawniczka, która nie chce usłyszeć więcej, niż byłaby gotowa powtórzyć pod przysięgą, zmieniła temat.

Spojrzała na ocean, a później na niebo.

- Jak myślisz, co się tutaj stało? - spytała.

- Nie wiem.

- Zdaję sobie sprawę, że nie wiesz. Pracowałam przy tym śledztwie i też nie wiem. Ale co myślisz?

Wzięłam ją za rękę i ruszyliśmy w stronę jeepa.

- Myślę, że trzeba wyjaśnić obecność tej smugi światła - odparłam. - Bez tego dowody przemawiające za awarią mechaniczną są przytłaczające. Ale jeśli ta smuga była, to mamy inną, bardzo wiarygodną hipotezę: pocisk ziemia-powietrze.

- W którą stronę się skłaniasz?

- Zawsze skłaniam się w stronę faktów.

- Masz do wyboru dwa zbiory faktów: zeznania świadków opowiadających o smudze światła i dowody materialne, które nie zawierały żadnych śladów ataku raketowego, za to potwierdzające przypadkowy wybuch w centralnym zbiorniku paliwa. Które fakty wolisz?

- Nie zawsze ufam świadkom.

- A jeśli ponad dwustu widziało to samo?

- Wtedy musiałbym z wieloma z nich porozmawiać.

- Przedwczoraj widziałeś ośmiu w telewizji.

- To nie to samo co przesłuchanie w cztery oczy.

- Ja ich przesłuchiwałam. Rozmawiałam z dwunastoma, słyszałam ich głosy i patrzyłam im w oczy. - Kate zrobiła krótką pauzę. - Spójrz mi w oczy.

Zatrzymałam się i spojrzałam na nią.

- Nie mogę wyrzucić z myśli ich słów i twarzy - dodała.

- Byłoby dobrze, gdyby ci się to udało.

Dotarliśmy do jeepa, otworzyłem Kate drzwi. Wsiadłem, uruchomiłem silnik i wycofałem na piaszczystą drogę. Karłowata sosna wyskoczyła spod auta, większa i bardziej rozrośnięta niż wtedy, gdy na nią najechałem. Trauma dobrze robi dzikiej florze. Przetrwają najsilniejsi.

Dołączyłem do długiego szeregu pojazdów opuszczających miejsce mszy.

Kate milczała przez dłuższą chwilę, a później rzuciła:

- Zawsze się nakręcam, kiedy tu przyjadę.

- Teraz wiem dlaczego.

Sunęliśmy powoli w stronę mostu. Nagle przypomniałem sobie bardzo wyraźnie rozmowę, którą odbyłem z agentką specjalną Kate Mayfield wkrótce po tym, jak się poznaliśmy. Pracowaliśmy nad sprawą Asada Khalila, o której raczył wspomnieć mój nowy przyjaciel Liam. Pan Khalil, libijski dżentelmen, przybył do Stanów Zjednoczonych z zamiarem zamordowania pewnej liczby pilotów sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, którzy zrzucili kiedyś bomby na jego ojczyznę. Chyba żaliłem się na długie godziny pracy, a Kate powiedziała do mnie: „Wiesz, kiedy prowadziliśmy śledztwo w sprawie katastrofy TWA 800, trzeba było pracować przez całą dobę, siedem dni w tygodniu”. A ja sarkastycznie, być może nieopatrznie, odparłem: „A to nawet nie był atak terrorystyczny”. Kate nie odpowiedziała, a ja myślałem wówczas, że nikt znający sprawę nie odpowiada na pytania dotyczące lotu TWA 800 i że wciąż pozostają pytania bez odpowiedzi.

Minął rok, my jesteśmy małżeństwem, a ona wciąż niewiele mówi. Jednak czegoś się od niej dowiedziałem.

Skręciłem na most i wlokłem się razem z innymi samochodami. Po lewej stronie rozciągała się Wielka Zatoka Południowa, a po prawej zatoka Moriches. Światła z odległego brzegu odbijały się migotliwie na wodzie. Na czystym wieczornym niebie iskrzyły się gwiazdy, przez otwarte okna wpadał powiew słonego powietrza.

W piękny letni wieczór, bardzo podobny do tego, dokładnie pięć lat temu wielki samolot, który jedenaście i pół minuty wcześniej wystartował z lotniska Kennedy'ego, by z dwustu trzydziestoma pasażerami na pokładzie polecieć do Paryża, eksplodował w powietrzu i deszczem ognistych szczątków runął w wodę, rozpalając kawałek oceanu.

Usiłowałem sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać w oczach świadków. Na pewno było tak dalekie od wszystkiego, co dotąd widzieli, że nie mogli zrozumieć, co się dzieje, i nie potrafili sobie tego wytłumaczyć.

- Kiedyś przesłuchiwałem pewnego świadka twierdzącego, że stał trzy metry od człowieka, który strzelił jeden raz do ofiary z odległości półtora metra. Tymczasem zdarzenie zostało nagrane przez kamerę i okazało się, że świadek stał około dziewięciu metrów od napastnika, a ten stał sześć metrów od ofiary. Oddał trzy strzały. - Po chwili dodałem niepotrzebnie: - W traumatycznych, ekstremalnych sytuacjach mózg nie zawsze rejestruje to, co widzą oczy i słyszą uszy.

- Świadców były setki.

- Siła sugestii lub syndrom zafałszowanej pamięci, chęć przypochlebiania się rozmówcy albo połączony efekt wieczornego nieba i złudzenia optycznego. Możesz wybierać.

- Nie muszę. Wszystkie te możliwości wybrali autorzy oficjalnego raportu, kładąc szczególny nacisk na złudzenie optyczne.

- Taak, pamiętam. - Spece z CIA na podstawie spekulacji stworzyli animowaną rekonstrukcję eksplozji, wyemitowaną w telewizji, która zdawała się tłumaczyć obecność świetlnej smugi. Pamiętam, że smuga, którą widziało ponad dwustu ludzi i która ich zdaniem wznosiła się w stronę samolotu, w animacji wychodziła z niego, gdyż miało to być paliwo sączące się z rozerwanego zbiornika. Wyjaśniono to w ten sposób, że to nie wybuch zwrócił uwagę świadków, lecz jego odgłos, który dotarł do nich piętnaście do trzydziestu sekund później w zależności od miejsca, w którym się znajdowali. Kiedy spojrzeli w stronę, z której dobiegł huk, zobaczyli płonący strumień paliwa lotniczego, łatwy do pomylenia z rakieta czy pociskiem sunącym w górę. Poza tym po eksplozji kadłub samolotu, jak pokazały radary, wzniósł się o kilkaset metrów, dlatego płonąca część samolotu też mogła wyglądać jak lecący ku górze pocisk.

Zdaniem CIA było to złudzenie optyczne. Uznałem to wy tłumaczenie za kit, lecz animacja wypadła bardziej przekonująco niż komentarz. Powinienem obejrzeć ją jeszcze raz.

Powinienem też jeszcze raz zadać sobie pytanie, tak jak pięć lat temu, dlaczego to CIA stworzyła tę animację, a nie FBI. O co chodziło?

Dojechaliśmy na drugą stronę mostu, gdzie zaczynała się William Floyd Parkway. Spojrzałem na zegar na tablicy rozdzielczej.

- Nie dojedziemy do miasta przed jedenastą.

- Możemy później, jeśli masz ochotę.

- Co to znaczy?

- Jeszcze jeden przystanek. Ale tylko pod warunkiem, że chcesz.

- Czy mówimy o szybkim numerku w moteliku na godziny?

- Nie, nie o tym mówimy.

Coś mi się zdawało, że Liam Griffith bardzo dobitnie mi radził, żebym nie czynił z tej sprawy mojego hobby po godzinach pracy. Nie wyjaśnił wprawdzie, co się stanie, jeśli nie pójdę za jego radą, ale mogłem się domyślić, że nie będzie to nic przyjemnego.

- John?

Karierę Kate musiałem brać pod uwagę bardziej niż moją, bo ona zarabiała więcej. Może powinienem jej powtórzyć, co usłyszałem od Griffitha.

- Okay, jedźmy do domu - westchnęła.

- Okay, jeszcze jeden przystanek - odparłem.

[1]FIRO - *Flight 800 Independent Researchers Organization*; Niezależne Stowarzyszenie Badaczy Katastrofy Lotu numer 800.

[2]FALN - *Fuerzas Armadas Liberacion Nacional Puertoriquena*; Narodowowyzwoleńcze Siły Zbrojne Puerto Rico.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).